



Prace nagrodzone w Konkursie literackim dla dzieci i młodzieży pt. „Siedzę w domu i piszę...”

kategoria wiekowa 10–14 lat



Spis treści

I nagroda

Zofia Bulsiewicz • „(Nie)spokojny czas” 3

I nagroda (ex aequo)

Dominik Kujawa • „Kto niechcący wywołał pandemię?” 6

II nagroda

Blanka Roznowska • „Zostań w domu” 9

II nagroda (ex aequo)

Julia Jeziorska • „W czarnym notatniku” 12

II nagroda (ex aequo)

Jan Strumiłło • „Jedna bajka na dzień” 15

III nagroda

Anna Czoba • „Zdjęcie” 18

III nagroda (ex aequo)

Paweł Szulgo • „List do zarazy” 21

Jury:

Dorota Koman – Przewodnicząca

Marcin Koziół

Katarzyna Majgier

Katarzyna Ryrych

Irena Koźmińska – Prezes Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”

(NIE)SPOKOJNY CZAS

Budzik dzwonił i dzwonił. W końcu w drzwiach stanął tata i powiedział, że jeśli chcę dziś iść z nim do pracy, to śniadanie czeka w kuchni. Zwlokłam się z łóżka i po chwili odzyskałam wigor. Szybko z tatą się wyszykowaliśmy i wyszliśmy z domu.

Jestem Adela i mam trzynaście lat. Mieszkam z rodzicami i rodzeństwem w otulinie Biebrzańskiego Parku Narodowego, a mój tata jest leśnikiem.

Ostatnio na całym świecie wybuchła epidemia i wprowadzono nowe zasady życia. Nie chodzę do szkoły i nie mogę się spotykać z kolegami. Dzięki temu, że tata jest leśniczym, swobodnie opuszczam dom – chodzę z nim do pracy, czyli do lasu. Wszyscy w klasie mi teraz zazdroszczą. Rano idziemy na obchód, a potem się rozdzielamy. Tata pozwala mi włóczyć się samej po okolicy, bo wie, że nie zabłądzę i nikogo nie spotkam. Lekcje odrabiam po obiedzie – są korespondencyjne, w stylu: przeczytaj i rozwiąż. Mam dużo czasu dla siebie. I tak sobie płynie czas, leniwie i bez niespodzianek. Dzisiejszy poranek również nie zapowiadał niczego niezwykłego.

Poszliśmy w kierunku puszczy. Rozstaliśmy się na skraju lasu. Ja skręciłam na łąkę, a tata poszedł dalej. W pewnym momencie zauważyłam falowanie traw, chociaż nie było wiatru. Zaciekawiona podeszłam bliżej i zobaczyłam wysoką, ubraną na białą postać. Myślałam, że to może moja siostra. Zaczęłam się do niej podkradać. Już chciałam wyskoczyć i krzyknąć: „Bu!”, gdy w tym momencie postać odwróciła się i spojrzała na mnie. To stanowczo nie moja siostra! Teraz zauważyłam, że była od niej o wiele wyższa. Miała bladą, prawie białą skórę, wielkie oczy i nieproporcjonalnie długie ręce, w których trzymała sierp i częściowo upleciony wianek. Taką istotę widziałam tylko w bestiarzku słowiańskim i był tam dopisek: „Bardzo niebezpieczna! Spotkanie grozi śmiercią!”. Co prawda na obrazkach nie trzymała wianka, ale nie miałam wątpliwości. To była południca.

Wrzasnęłam przeraźliwie i rzuciłam się do ucieczki. Istota ruszyła za mną. Była bardzo szybka i po chwili zaczęła mnie doganiać.

– Nie bój się! Nie zrobię ci krzywdy! – wołała.

Jasne, południca nie robi krzywdy?! To chyba jakieś żarty! Ale zatrzymałam się i odwróciłam w stronę demona.

– Stój i nie zbliżaj się! – krzyknęłam. – Południce są złe!

Południca podeszła bliżej i usiadła na zwałonym pniaku. Westchnęła ciężko.

– Nikogo nie ma na polach. Nie ma kogo straszyć. I do tego jeszcze da się żyć już tylko na łąkach w parkach narodowych. Ludzie używają takiej ilości trującej chemii, że jak się stanie na polu, to od razu stopy więdną. I jeszcze łąki wypalają! Przecież przez to ginie mnóstwo zwierząt! Ludzie wiedzą, że węże, ropuchy i pszczoły są pożyteczne, prawda? – żaliła się. Była zrezygnowana i znudzona.

– W szkole o tym niby uczą, ale dorośli wiedzą lepiej – odparłam.

Powoli przedstawiałam się jej bać.

– A dlaczego nie ma nigdzie ludzi? – dopytywała południca.

– Bo wybuchła epidemia i nikomu nie wolno wychodzić z domu. Ja tu jestem tylko dlatego, że tata pozwala mi chodzić ze sobą do pracy – wytłumaczyłam.

– Ahaaa... Strasznie nudno tu teraz bez ludzi. Wszystkie demony narzekają. No, ale ja muszę już lecieć. Przecież zbliża się południe! To paaa!

I południca odleciała, zostawiając wianek przy pieńku. Odetchnęłam z ulgą, chociaż z drugiej strony dobrze mi się z nią rozmawiało i była całkiem miła. Zabrałam wianek i z łąki weszłam do lasu.

Wędrowałam w głąb jakąś godzinę, gdy zauważyłam ruch w zaroślach. Nie podejrzewałam już, że to jakieś zwierzę. Gotowa na atak kolejnego demona rozchyliłam krzaki. Zamiast ohydneho, żadnego krwi potwora zobaczyłam zgarbioną starowinkę. Może zbierała runo leśne?

– Przepraszam panią, ale to park narodowy i tu nic nie wolno zrywać – uprzejmie zwróciłam jej uwagę.

– Ależ... czy ty nie wiesz, kim jestem? – zdziwiła się babuleńka.

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą i w myślach wzruszyłam ramionami.

– Jestem Borowa Ciotka – przedstawiła się staruszka.

– A ja Adela – odpowiedziałam.

I dopiero po chwili do mnie dotarło – przecież to opiekuńczy duch lasu!

– Borowa Ciotko, a czy tobie nudzi się w lesie? – zapytałam, pamiętając, o czym mówiła południca.

– Trochę tak, bo nie ma żadnych dzieci – odpowiedziała. – Brakuje ich śmiechu. Za to zwierzęta są teraz dużo szczęśliwsze.

– Południca też narzekała – powiedziałam. – I skarżyła się, że na polach jest za dużo chemikaliów.

– Mnie bardziej martwią te wszechobecne śmieci – westchnęła Borowa Ciotka.

– Jak to? Przecież teraz ludzie siedzą w domach i nie śmieją! – zdziwiłam się.

– W zasadzie nie wiem, co to jest. Leży to to wszędzie.

Z przerażeniem zobaczyłam, że Borowa Ciotka trzyma zużytą масечkę chirurgiczną. I wyciąga kolejne. I jeszcze gumowe rękawiczki. Byłam w szoku! Wytłumaczyłam, co to jest i dlaczego może być niebezpieczne. Bo kto wie, a nuż demony też mogą zakazić się koronawirusem?

– I co z tego, że ludzie nie hałasują w lesie, skoro śmieci jest coraz więcej – westchnęła ciężko Ciotka. – A co ty masz, dziecko, w ręku? – spytała.

– Wianek południcy – uśmiechnęłam się. – Może plotła go z nudów.

– A to ci dopiero! Muszę znaleźć demonom zajęcia, bo one źle znoszą tę waszą izolację, jest za spokojnie. Gdy się znowu spotkamy, to pokażę ci, co wymyśliłam.

Pożegnała się i poszła w głąb lasu.

Wracając do domu, zaplanowałam, że jutro na polu trochę na głos poczytam – może komuś sprawię radość. Mam nadzieję, że ta epidemia niedługo się skończy.



KTO NIECHCĄCY WYWOŁAŁ PANDEMIE...

Teodorek – jedyny niebieski miś na świecie – siedział na łóżku swojego najlepszego przyjaciela Dominika i intensywnie myślał. Ostatnio bardzo wiele zmieniło się w domu i trudno mu było zrozumieć, dlaczego mama robi kwarantannę paczkom, owocom i warzywom i nie pozwala mu wkładać pyszczka do toreb z zakupami, jak to miał w zwyczaju. Jego opiekun też zmienił zwyczaje. Nie miało już sensu wypatrywanie Dominika przez okno, gdy wracał ze szkoły, terkocząc plecakiem na kółkach. Niebieski tornister stoi porzucony w kącie, a jego właściciel siedzi przed komputerem i rozmawia o różnych trudnych rzeczach, a nawet w niezrozumiałym języku. Co najgorsze, nie pozwala w tym czasie grać na tubie i skakać po łóżku. Ostatnio zdziwił się też na widok taty i zapytał go:

– Zmieniłeś pracę? Zostałeś spawaczem?

Tata roześmiał się tylko, zdejmując przyłbicę i rękawiczki.

To było bardzo zagadkowe.

Najbardziej jednak miś zaniepokoił się, gdy Dominik zażartował, że azjatyckie biedronki, gnieźdzące się w szparze w jego pokoju, mogą przenosić chińskiego wirusa.

No właśnie, chińskiego... A przecież Teodorek niedawno wrócił z jednej ze swoich niezliczonych podróży. A trzeba wiedzieć, że miejsca docelowe owych podróży najczęściej były zupełnie przypadkowe, ponieważ mały niebieski miś nie był mistrzem geografii czy języków obcych. Po prostu korzystał z nadarzającego się środka transportu.

A było to tak... Pewnego listopadowego dnia miś dotarł przypadkiem do metropolii Wuhan. Jako miś, którego możliwości finansowe nie były zachwycające, zawsze udawał się w podróż w luku bagażowym samolotu. Kiedy z niego ukradkiem wysiadł, postanowił pozwiedzać miasto. Wybrał się w stronę portu, bo chciał obejrzeć ogromne kontenerowce. Przechodząc przez most nad rzeką Jangcy, wychylił się przez barierki na samym środku, żeby zobaczyć, czy w tak zanieczyszczonej wodzie pływają jakieś ryby.

Plum! Już chwilę później unosił się na powierzchni. Jednak jego niebieskie futerko zaczęło nasiąkać i miś opadał na dno, rozpaczliwie machając łapkami. Nagle zauważył przed sobą jakieś tajemnicze metalowe drzwi. Nie byłby sobą, gdyby nie sprawdził, co się za nimi kryje. Podpłynął do czytnika linii papilarnych. Przesuwał po nim swoją kudłatą łapkę tak długo,

aż maszyna zwariowała. Niepostrzeżenie wszedł do środka. Przy drzwiach wisiały jakieś kombinezony, zdecydowanie za duże dla niego. Przypomniawszy sobie, że ma w kieszeni laseropowiększacz – przydatny wynalazek jego przyjaciela Dominika. Wystarczyło nacisnąć przycisk i Teodrek osiągnął wzrost dorosłego człowieka. Kiedy założył szczelny kombinezon, maseczkę, przyłbicę, gogle i rękawice, wyglądał bardziej jak kosmita niż miś.

– Świetny kamuflaż – mruknął do siebie pod nosem.

Za drzwiami, na których były narysowane dziwne znaczki, znajdowało się laboratorium o betonowych ścianach, ale miś pomyślał, że to kuchnia. Bardzo lubił jeść dużo niezdrowych rzeczy. W tym pomieszczeniu znajdowały się jakieś szczelnie zamknięte pojemniki.

– Hmm, to wygląda na ryż, a tamto... Mam nadzieję, że nie są to grillowane węże. Albo marynowane pająki – Teodor wstrząsnął się ze wstrętem.

Minęło go kilku ludzi w takich samych kombinezonach jak on.

– Na pewno to są kucharze – wyszeptał pluszak.

W kolejnym dziwnym pomieszczeniu na półce stały okrągłe, przezroczyste pudełeczka z ładnymi zielonymi kropeczkami wewnątrz.

– Czyżby to był mój ulubiony słodziutki groszek? – zamruczał, oblizując się pod maseczką.

Wspiął się, by go dosięgnąć, ale nasiąknięty wodą był bardzo ciężki. Bum! Trach! Półka zerwała się, pojemniki spadły na ziemię i stłukły się w drobny mak. Ich zawartość zaczęła się pienić i rozlewać po całym laboratorium. Niedźwiadek pomyślał, że chyba ten groszek był nieświeży.

– Dlaczego ci kucharze nie przechowywali jedzenia w lodówce! – wykrzyknął oburzony.

Nagle poślizgnął się na zielonej mazi i niechcący uruchomił gaśnicę proszkową. Następnie miała miejsce lawina katastrof: wybuch, pożar, wycie alarmu, pękające pod wpływem żaru probówki...

Kiedy naukowcy przybyli na miejsce zdarzenia, Teodora już tam nie było.

Teraz niebieski miś siedział ze swoim przyjacielem Dominikiem przed telewizorem i błękitniał z przerażenia. Na ekranie uwijali się wokół szpitalnych łóżek ludzie ubrani w takie same szczelne kombinezony i maski.

– To są ci kucharze, w których restauracji tak nabałagałem. Ojej, lepiej nie wychodzić z domu...

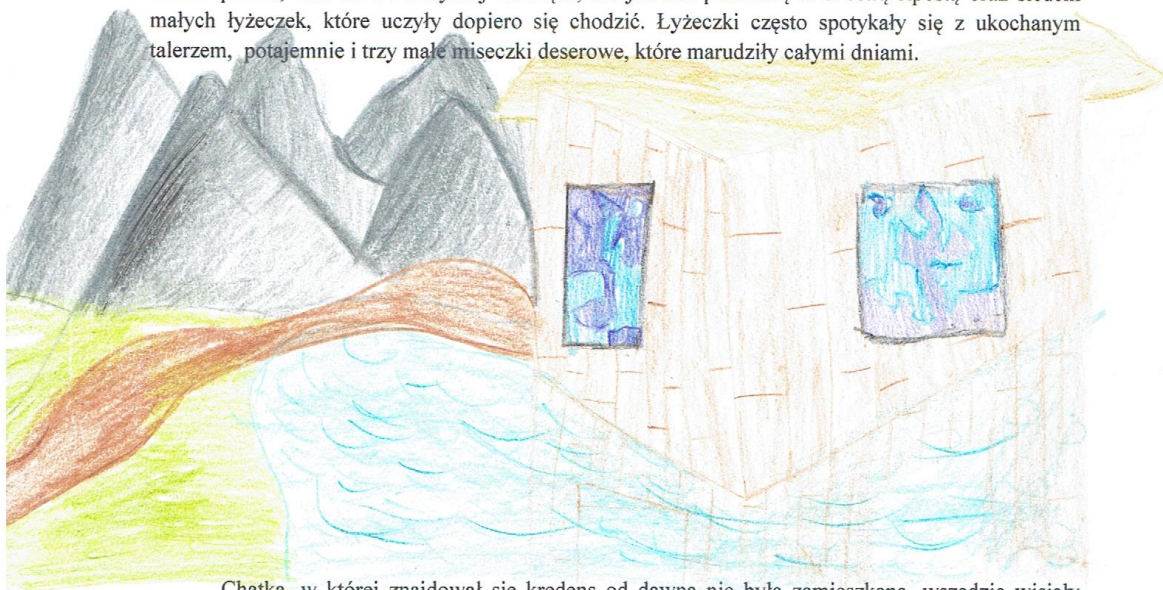
Dominik przytaknął gorliwie przyjacielowi, bo usłyszał tylko ostatnie zdanie.



Ilustracja do opowiadania pt. „Kto niechcący wywołał pandemię”.

„Zostań w domu”

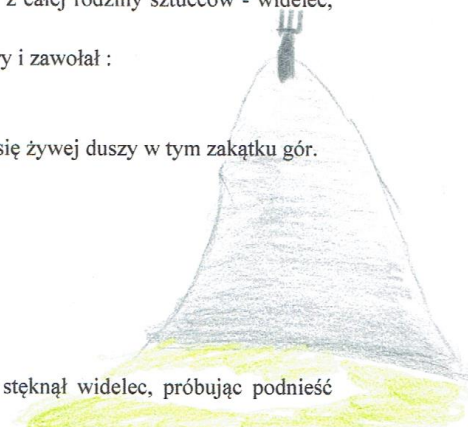
Dawno, dawno temu, w górach w drewnianym domku nad jeziorem stał stary kredens. W szufladzie tego kredensu było pięć łyżek, które biadoliły na swój los, sześć widelców, które były bardzo psotne, dwa noże zazwyczaj milczące, ale jak coś powiedzą to z ostrą ripostą oraz siedem małych łyżeczek, które uczyły dopiero się chodzić. Łyżeczki często spotykały się z ukochanym talerzem, potajemnie i trzy małe miseczki deserowe, które marudziły całymi dniami.



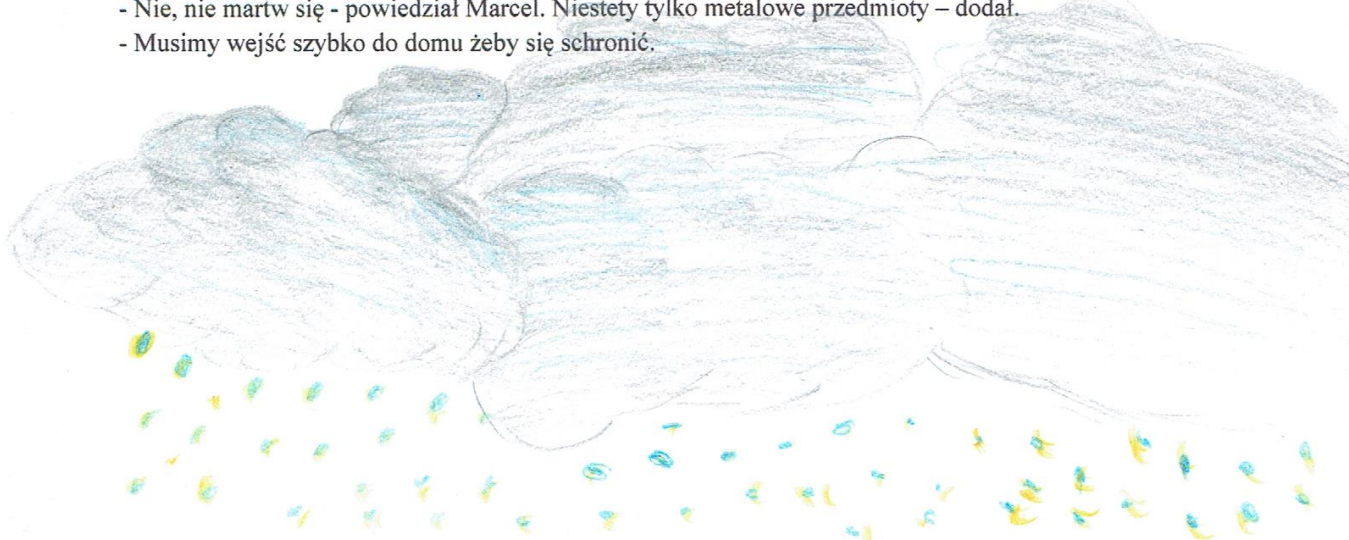
Chatka, w której znajdował się kredens od dawna nie była zamieszкана, wszędzie wisiały pajęczyny, a okno na strychu pod wpływem wiatru otwierało się i straszło domowników (czyli zastawę kuchenną). Stefek czyli najstarszy i jedyny mający imię z całej rodziny sztuców - widelec, był to swego rodzaju przywódca.

Stefek pewnego słonecznego dnia wspiął się na szczyt góry i zawołał :

- Hej, ha !!! Jest tam kto?
- Tu jestem – odezwał się głos po chwili.
- Gdzie? - zawołał ponownie Stefek, całkowicie nie spodziewając się żywej duszy w tym zakątku gór.
- Tu za szczytem góry - powiedział głos.
- Już idę - powiedział Stefek – Cześć, jak masz na imię?
- Marcel, a ty? - zapytał nieznajomy.
- Stefek - odpowiedział widelec.
- Marcel mruczał coś pod nosem.
- Co się stało?- spytał Stefek.
- To nic takiego, spadająca skała przyniotła mi nogę.
- O jejku, już Ci pomagam - zawołał Stefek. Yyyyyyyyyy – stęknął widelec, próbując podnieść odłamek skały.
- Marcel przepraszam, nie mogę ale.....zawołałam resztę – wykrzyknął Stefek. Już po nich idę- powiedział.
- Pospiesz się, proszę, boli mnie noga.- wykrzyknął Marcel.
- W tym samym czasie Stefek pobiegł po resztę sztuców, jak dotarł do domu wykrzyknął:
- Chodźcie wszyscy!
- Już idziemy – odpowiedzieli wszyscy razem.
- Ja też? - zapytał talerz



- Nie i uprzedzam wasze pytania, miski wy też nie idziecie, bo się potłuczecie – uprzedził ich Stefek.
- Chodźcie szybciej, tam za górą leży chłopczyk, któremu skała przygniotła nogę, trzeba mu pomóc – krzyknął Stefek.
- Idziemy, idziemy no już - odpowiedzieli wszyscy.
- To chodźcie- powiedział Stefek.
- Jak już dotarli to Marcel wykrzyknął:
- Hura!!! Już jesteście!
- Tak, tak chodźcie szybciej – powiedział Stefek.
- Yyyyyyyyyyyyyy, już się podnosi ta skała – krzyknęła łyżka.
- Marcel powiedział, że ma coś ważnego do przekazania. Posłuchajcie mnie wszyscy – powiedział.
- Wyszedłem na dwór z moją ulubioną łyżką i zaczął padać deszcz, kwaśny deszcz, który spowodował, że łyżka zardzewiała i przestała się odzywać - ostrzegął ich Marcel.
- O jejku – wykrzyknęli wszyscy. Co to może oznaczać dla nas?
- Poczekajcie, najpierw pomożemy Marcelowi dotrzeć do naszego domu, spójrzcie na chmury, nie wyglądają faktycznie tak jak zawsze, chodźcie szybko - powiedział Stefek.
- Szybko pokonali odcinek drogi do domu. Przed domem Stefek zapytał Marcela:
- Marcel?
- Tak!- odpowiedział
- No, bo chciałem cię zapytać czy na szklane rzeczy ten deszcz też tak działa? – spytał go Stefek
- Nie, nie martw się - powiedział Marcel. Niestety tylko metalowe przedmioty – dodał.
- Musimy wejść szybko do domu żeby się schronić.



Wtedy poszli schronić się do kredensu, żeby nie złapał ich kwaśny deszcz, który powoduje takie straszne rzeczy. Wtedy talerz powiedział:

- O jejku, co się stało?
- Stefek odpowiedział, że trzeba się schować przed kwaśnym deszczem i to natychmiast.
- O co chodzi z tym kwaśnym deszczem? – zapytały razem trzy małe miski.
- Marcel im odpowiedział, że to taki deszcz jak wyjdiesz na dwór to zardzewiejesz, wy miseczki nie jesteście metalowe tylko szklane, a deszcz łapie tylko metalowe przedmioty.
- I co mamy teraz robić?- zapytał jeden z widelców.
- Po prostu jak pada deszcz to nie wolno wychodzić na dwór – powiedział Stefek.
- Tak dobrze mówię? – zapytał Stefek, Marcela.
- Dokładnie bardzo dobrze powiedziałeś Stefek – przytaknął mu Marcel.
- Widzicie jaki ten deszcz jest straszny, łyżki się go boją, widelce i inne metalowe przedmioty.

Marcel pożegnał się ze wszystkimi i pobiegł do domu. Noga przestała go już boleć, chmury były coraz bliżej.

Po piętnastu minutach zaczął padać kwaśny deszcz i talerz (ten co się w nim łyżeczki zakochały), chciał sprawdzić jak to jest z tym deszczem i wyszedł na dwór, a za nim trzy małe łyżeczki i już zaczęły rdzewieć. Gdy talerz to zobaczył, stanął jak wryty i krzyknął:

- Schowajcie się, szybko!!!- wykrzyknął.

- Pomocy!!! – krzyknęły łyżeczki.



Wtedy talerz przykrył je całym talerzowym/szklanym (jak kto woli) ciałem, jednak trochę sięgnął je ten deszcz i łyżeczki miały małe plamki rdzy. Powiedziały do talerza: DZIĘKUJEMY i PRZEPRASZAMY.

- Na szczęście możecie mówić - dodał talerz. Ja też nie powinienem wychodzić, mogłem pomyśleć, że będziecie chciały za mną wybiec na dwór.

Chodźcie, do domku, wysuszmy się.

Pamiętajcie, zostańcie w domu!

Blanka Roznowska

Pisownia w wersji oryginalnej.



W CZARNYM NOTATNIKU

Kwiecień 2030 roku, pandemia COVID-19 trwa już ponad dziesięć lat.

Nazywam się Hope i przetrwałam pandemię (chyba). Od początku pandemii wszystko, co się dzieje na świecie, zapisuję w czarnym notatniku, żeby, jeśli przyszłe pokolenia go znajdą, mogły dowiedzieć się, co się działo. Opowiem wam teraz trochę o sobie. Gdy pandemia się rozpoczęła, miałam skończone sześć lat i wiodłam dość spokojne życie w Szanghaju. Jestem wysoka, mam czarne włosy do ramion i szczupłą sylwetkę. Bardzo interesuje mnie życie gadów, nawet mam zielonego kameleona trójrogięgo, który nazywa się Yoshi. Życie dało mi w kość. Moja mama, która była wybitną lekarką, chemiczką i pomagała w największych szpitalach, w końcu się zaraziła i umarła rok temu. Po jej śmierci tata się załamał. Mnie też nie było łatwo, tym bardziej że tata przestał ze mną rozmawiać. Albo spędzał dzień na pracy, albo przed telewizorem, pijąc piwo. To ja zajmowałam się domem, chodziłam do sklepu, sprzątałam i przygotowywałam posiłki. Jedynym miejscem, w którym mogłam odetchnąć i zapomnieć, co się dzieje, było laboratorium mamy w piwnicy. Na szczęście mama miała duże zapasy odczynników, więc nie musiałam się o to martwić. Siedziałam jak zwykle w piwnicy, gdy zawołał mnie tata. Poszłam na górę, pytając, co tak ważnego się stało, że musi mnie odrywać od pracy.

– Co dziś na obiad? – zapytał.

– Nie wiem, jeszcze nic nie przygotowałam. Może kiedyś ty byś się tym zajął – odparłam, otwierając lodówkę.

– Nie odzywaj się tak do ojca – odpowiedział zdenerwowany.

– W lodówce nic nie ma, więc pójdę do sklepu – stwierdziłam, wchodząc do pokoju.

Zaczęłam przygotowywać się do wyprawy do sklepu. Założyłam moją ulubioną skórzaną kurtkę, czarną maseczkę i czarne rękawiczki. Wyszłam z domu i wsiadłam na skuter, który kiedyś należał do mamy. Uwielbiałam nim jeździć. Sklep nie był bardzo daleko od domu, ale wolałam pojechać skuterem. Jadąc przez prawie puste ulice, minęłam parę opuszczonych domów. Widok był przerażający, ale miasto już od dawna tak wyglądało. W 2024 roku władze połuźniły ograniczenia. Połuźniono je, ponieważ myślano, że epidemia już się kończy, niestety tak nie było. W tamtym roku umieralność ludzi na koronawirusa zwiększyła się. W ciągu tych dziesięciu lat zginęło trzysta milionów osób. Wszystkie szpitale wciąż są przepełnione. Brakuje lekarzy.

Tak myśląc, dojechałam do sklepu. Skuter przypięłam do stojaka za sklepem. Miałam złe przeczucie. Gdy weszłam do sklepu, zobaczyłam coś, czego nigdy bym się nie spodziewała. Regały były poprzewracane, jedzenie i napoje leżały na ziemi. W tych czasach gospodarka jest w bardzo złym stanie. Dla wielu ludzi brakuje jedzenia.

Po chwili dotarło do mnie, że nigdzie nie widać kasjera, więc zaczęłam rozglądać się po sklepie. Nagle zobaczyłam wystającą zza kasy stopę. Byłam przerażona i podeszłam bliżej. Zobaczyłam czarnowłosą dziewczynę, mającą około siedemnastu lat, która prawdopodobnie została postrzelona, ponieważ miała dziurę w dole brzucha. Nie wiedziałam, czy żyje, ale wiedziałam, że muszę spróbować jej pomóc. Oderwałam kawałek mojej koszulki i przyłożyłam go do rany. Sprawdziłam, czy oddycha, okazało się, że nie, więc zaczęłam ją reanimować. Reanimowałam i reanimowałam. Na szczęście w końcu udało mi się przywrócić jej oddech i się ocknęła.

– Hej, pamiętasz co się stało? – zapytałam.

– Weszło tu dwóch mężczyzn i chcieli okraść sklep. Stawiałam opór, więc mnie postrzelili – powiedziała zmęczonym głosem.

– Słuchaj nie mogę pozwolić, żebyś się wykrwawiła. Macie tu jakieś bandaże? – spytałam zmartwiona.

– Niestety ostatnio się skończyły. Mam szczęście, że przyszedłeś, inaczej mogłabym umrzeć – stwierdziła.

– Zabiorę cię do domu i tam cię opatrzę – zdecydowałam.

– Dobrze, tylko się pośpiesz, bo nie wiem, czy długo dam radę.

Szybko zgarnęłam trochę jedzenia do plecaka. Podniosłam dziewczynę i posadziłam ją na skuterze.

– Złap mnie mocno, nie puszczaj. Będziemy jechać szybko – powiedziałam, odjeżdżając.

Jechałam najszybciej, jak mogłam. Gdy dojechałyśmy, zaniiosłam ją od razu do piwnicy. Nie chciałam, żeby tata ją widział, pewnie zdenerwowałby się, że wpuszczam kogoś obcego. Na dodatek osobę, która może być zarażona. Położyłam ją na stole w piwnicy i szybko pobiegłam po jakieś bandaże. Postanowiłam wyjąć kulę i zszyć ranę. Chwilę to zajęło, ale się udało. Po jakiejś godzinie od zabiegu dziewczyna się obudziła. Yoshi zainteresował się nią i usiadł obok niej.

– Udało ci się – powiedziała dziewczyna.

- Na szczęście tak – stwierdziłam szybko.
 - Czy to kameleon trójrogi? – zapytała.
 - Tak. Skąd wiesz?
 - Interesuję się gadami. Wszystko z nim dobrze? Jego łuski wyglądają dziwnie – powiedziała.
 - To pewnie jakaś choroba. Od jakiegoś czasu już tak wyglądają, ale niestety nigdzie nie mogłam znaleźć informacji o tej chorobie.
 - Nie myślałaś o przebadaniu go? Widzę, że masz profesjonalne laboratorium.
 - W sumie masz rację. Może zrobimy to razem? – zaproponowałam.
 - Możemy spróbować.
- Po śmierci mamy miesiącami studiowałam jej notatki, więc miałam doświadczenie w pracy w laboratorium. Pobraliśmy próbkę krwi Yoshiego i zaczęłyśmy ją badać. Okazało się, że na skutek tej choroby we krwi Yoshiego znajduje się antygen, który może pomóc w leczeniu koronawirusa. Stworzenie leku i szczepionki jeszcze trochę potrwa, ale jest nadzieja.

JEDNA BAJKA NA DZIEŃ

Zadzwonił budzik. Mały czarny ekranik pokazywał 10.00. Miałem jeszcze dwie godziny, zanim rozpoczyna się e-lekcje. Wstałem i powlokłem się do kuchni, zrobiłem kanapkę, podgrzałem herbatę i usiadłem do stołu. Cztery tygodnie wykonywania tych samych czynności o tej samej porze i w tej samej sekwencji. Miałem wrażenie, że rutyna zabija mnie od środka. „Może jednak ta szkoła nie była tak zła?” Nie, no jeszcze nie zwariowałem tak bardzo, abym chciał wrócić do tego miejsca.

Usłyszałem tupot kroków i do kuchni wszedł mój młodszy brat. Ma na imię Staś. Wydaje się, że niewinnie? Nic bardziej mylnego! To istny diabeł! Cała zgraja słowiańskich demonów wyglądałaby przy nim jak Kelly Family! Od początku kwarantanny stał się moim cieniem i ciągle tylko: „Janek, pobaw się ze mną!”, „Janek, zagramy w jakąś grę?”, „Janek, oglądamy razem telewizję?”.

Przez pierwszych kilka dni było to nawet fajne. Wiecie, poprawienie relacji i tak dalej – ale ile można?! Kilka dni temu pod ogólną presją, szczególnie rodziców, podpisałem na siebie wyrok i zobowiązałem się do opowiadania mu jednej bajki dziennie. Jedynym plusem było to, że później przez pół dnia dawał mi spokój. Ale ja tu gadu-gadu, a tymczasem mały już z wyczekiwaniem patrzył na mnie, jakbym był jakąś wyrocznią, która wywróży mu świetlaną przyszłość bez żadnych zmartwień. No cóż... Rozsiadłem się wygodnie i zacząłem opowiadać:

Minęło sześć lat od przygody Małego Księcia na Ziemi. Przez ten czas wyrывał małe baobaby, czyścił wulkany, oglądał zachody słońca i delectował się widokiem swojej Róży. Niczego mu nie brakowało, był szczęśliwy. Aż któregoś dnia, oglądając po raz dziewiętnasty zachód słońca, poczuł ukłucie w sercu. Nie był to ból fizyczny, było to uczucie, którego Księżę nie czuł od bardzo dawna – samotność. Chciał z kimś o tym porozmawiać, ale przypomniał sobie, że ma tylko Różę. To uczucie dręczyło go przez wiele dni. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności jak dawniej, nawet przyglądanie się Róży. Postanowił więc wybrać się na poszukiwanie nowego przyjaciela.

Pierwszą planetą, którą odwiedził, była B-857, na której mieszkał stary myśliciel, a całą jej powierzchnię zajmowały książki poukładane w równe stosiki. Mały Księżę nie chciał się nawet tam zatrzymywać, lecz mężczyzna zakrzyknął do niego:

– Młody podróżniku! Zbliż się, a powiem ci, gdzie szukać tego, czego pragniesz!

Zaskoczony Księżę zeskoczył z ptaka, na którym podróżował. Staruszek wyglądał na takiego, który niejedno w życiu widział i zawsze umiał dobrze doradzić.

– Skąd możesz wiedzieć, kogo szukam?

– Widzę to w twoich oczach. Szukasz bratniej duszy, kogoś, z kim będziesz mógł porozmawiać, jednym słowem – przyjaciela. Powiem ci, gdzie go znaleźć, ale najpierw musisz przejść dwie próby, które dla ciebie przygotowuję.

Księżę, widząc trafność jego opinii i pewność, z jaką to mówi, zgodził się na propozycję starca. Mędrzec otworzył jedną z ksiąg, wypowiedział zaklęcie i nagle z opasłego tomiszcza wyskoczył gepard.

– Spróbuj go złapać – powiedział mistrz z lekkim uśmiechem.

Chłopiec gonił geparda cały dzień, lecz udało mu się dotknąć jedynie jego tylnej łapy. Zasmucony poprosił o kolejną próbę.

Tym razem starzec wyczarował orła, który latał metr nad ziemią, uciekając przed Księciem. Chłopiec zdołał wyrwać mu tylko kilka piór z ogona.

– Zawiodłem cię, Mistrzu, ale gepard i orzeł!? Te zadania są ponad moje siły – powiedział sfrustrowany chłopiec. – Nie mógłbym gonić baranka albo gołębia? Na pewno bym go złapał. Chcesz, żebym ciągle przegrywał?

Mistrz obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Nie zawiodłeś mnie, a wręcz przeciwnie. W ciągu stu pięćdziesięciu lat tylko trzem podróżnikom udało się dotknąć mojego geparda, a nikt jeszcze nie zdobył piór mojego ptaka. Lecz to, co mnie niepokoi, to to, że poprosiłeś o przeciwników słabszych od siebie. Jedyne więc, co urośnie, kiedy z nimi wygrasz, to twoje ego, a nie twoje umiejętności.

Mały Księżę zamyślił się, a kilka chwil później zapytał:

– Czy powiesz mi więc, gdzie mam szukać przyjaciół?

– Rozejrzyj się wokół siebie. Nie szukaj tego, co już masz. Ci, których kochasz i o których się troszczysz, ci, którym wybaczasz i których prosisz o wybaczenie, są twoimi najlepszymi przyjaciółmi.

– Róża! – wykrzyknął Księżę i żegnany ciepłym uśmiechem staruszka odleciał na swoją planetę B-612, by znów zobaczyć się ze swoją przyjaciółką, którą miał blisko, ale o której tak mało wiedział – Różą.

Skończyłem opowiadać i patrzyłem jeszcze przez chwilę na wielkie jak spodki oczy małego.

Oprócz typowego „uff, to już koniec” czułem coś jeszcze: specyficzne połączenie satysfakcji, wesołości i dużej dawki zrozumienia. Nagle mały przytulił się do mnie z siłą niewyobrażalną jak na sześciolatnie dziecko.

Może posiadanie brata to jednak nie jest taka katorga?



ZDJĘCIE

Siedzę na drewnianym krześle w klasie do biologii i posłusznie zapisuję notatki, dyktowane co jakiś czas przez nauczycielkę. Większość osób w klasie za nią nie przepada, łącznie ze mną. Siedzi za drewnianym, zniszczonym biurkiem. Jest dosyć puszysta, ma policzki oblane rumieńcami, brązowe włosy ścięte na boba, tego samego koloru oczy. Nauczycielka palcem stuka zirytowana w blat biurka. Nigdy nie zastanawiałem się, co ją trapi, mimo że robi to tak często.

Dzwoni dzwonek, obwieszczając koniec lekcji. W dobrym humorze wychodzę z budynku szkoły. Przy bramie stoi mój najlepszy przyjaciel – Kuba. Podchodzę do niego i poprawiam plecak.

– Cześć, Kuba. Co u ciebie i brata? – witam się.

Mój brązowowłosy kumpel lekko unosi obydwie kąćki ust. To wieczny optymista, odważny chłopaki, który był przy swoim niewidomym bracie, kiedy on tego potrzebował. Wracał ze szkoły, zajmował się nim, chodził od jednego do drugiego lekarza, gdy ich mama zostawała w pracy do późna. Był po prostu dobrym bratem, przyjacielem i synem. Jego ojciec uzależnił się od alkoholu. Po pewnym czasie mama Kuby rozwiodła się z nim. Przeprowadzili się do naszego miasta i byli szczęśliwi. Zawsze starał się mieć dobry humor i nie zamierzał nikogo martwić swoimi problemami.

– U nas dobrze, dzięki. Muszę iść z nim do lekarza, ale poza tym jest okej – odpowiedział. Pożegnaliśmy się i poszliśmy każdy w swoją stronę.

Wsiadłem do autobusu. Na świecie od paru miesięcy panuje pandemia koronawirusa, ale zostaliśmy już posłani do szkół, abyśmy nie mieli dużych zaległości w edukacji. Mimo to nie powróciliśmy całkiem do normalności. Nadal musimy zakrywać twarz maseczkami, ograniczać liczbę swoich wyjść tylko do tych koniecznych. Kina, teatry, niektóre parki, kręgielnie i inne miejsca rozrywkowe wciąż są zamknięte, a część z nich nie splajtuje tylko dzięki dofinansowaniu od naszego miasta.

Zdaniem mojego taty to, że poszliśmy już do szkół, jest nieodpowiedzialne. On pracuje w szpitalu i jako lekarz ciągle jest zagrożony, że zarazi się koronawirusem, którego naukowcy jeszcze do końca „nie rozgryźli”. By nie zarazić także nas, tata na czas pandemii wynajął sobie kawalerkę. Chciałbym, aby znów było normalnie, tak jak dawniej. Cała rodzina w domu, niedzielne spacerunki do parku z psem, a co drugi piątek kolacja w wybranej przez nas restauracji. Codziennie o nim myślę

i martwię się o niego. Jest naprawdę świetnym tatą. Pamiętam, jak zawsze byłem dumny z niego w przedszkolu i chwaliłem się swoim przyjaciołom, jaki jest odważny i że pomaga chorym osobom. Że dzięki niemu poprawia się stan serc jego pacjentów, bo jest kardiologiem.

Sięgnąłem do plecaka i wyjąłem z niego portfel. Po chwili w dłoni trzymałem już zdjęcie wielkości znaczka pocztowego, może trochę większe. Mimo to na zdjęciu doskonale było widać jego postać. Opuszkami palców dotknąłem jasnych włosów taty, czoła ze słabo zarysowanymi zmarszczkami, ciemnych oczu, policzków z dołeczkami i ust. Na samym końcu brody, szyi i kołnierzyka białej koszuli. Zawsze zimą zabierał mnie z siostrą na łyżwy, odwoził z treningów koszykówki i pomagał w pracach plastycznych, z których nie byłem dobry. Schowałem zdjęcie. Gdy dotarłem do domu i wszedłem do swojego pokoju, odczułem duże zmęczenie, więc postanowiłem się zdrzemnąć. Położyłem się na łóżku, uprzednio zasłaniając roletę, odkładając plecak i przykrywając się kołdrą. Już po kilku chwilach odpłynąłem do krainy Morfeusza.

Wróciłem właśnie ze szkoły i otworzyłem drzwi do swojego domu. Wszedłem do kuchni. Na stołkach obok wyspy kuchennej siedziała moja mama i siostra. Płakały, wręcz szlochały. Gdy mnie zobaczyły, otarły łzy. Byłem bardzo zdziwiony całym tym zajściem. Usiadłem na trzecim z czterech stołków i przeczesalem dłonią włosy.

– Mamo, co się stało? – zapytałem, a na jej twarzy pojawił się grymas na kształt uśmiechu. Jak zawsze, gdy chciała mnie pocieszyć.

– Twój tata zmarł, synku. Przeprasz-a-am. Mogłam namówić go do wzięcia wolnego – odpowiedziała, a jej słowa rwały się z powodu płaczu. Poczułem, jak pod moimi powiekami zbierają się łzy. Byłem bardzo zszokowany.

– Co? Ale jak to?

– Tata zaraził się w pracy jakiś czas temu tym okropnym wirusem i jego organizm nie wytrzymał walki z nim – powiedziała Julka, moja siostra, gdy się rozpłakałem.

Płakałem tak przez jakiś czas razem z nimi, gdy nagle poczułem szturchnięcie. Po chwili kilka następnych. Otworzyłem oczy i wybudziłem się. Usiadłem i przetrąłem oczy. Mój sen wydawał się taki realistyczny. Musiałem upewnić się, że nie był prawdą.

– Co z tatą?

– Z tatą? Z tego co wiem, to właśnie operuje jakiegoś pacjenta i ma się dobrze. Śniło ci się coś? Chcesz o tym pogadać? – spytała mama i uniosła brew w górę.

– Nie, dzięki, mamo – odpowiedziałem, a ona rzuciła mi jeszcze jedno zdziwione spojrzenie i wyszła z pokoju.

Odetchnąłem z ulgą. Uff. Nic mu nie jest. Nadal nie mogłem w to uwierzyć, więc sięgnąłem szybko po telefon i wybrałem numer taty. Odebrał po paru sygnałach.

– Cześć, Mateusz. Coś się stało? Mam właśnie przerwę w pracy.

– Dziękuję ci, że jesteś, tato – odparłem i uśmiechnąłem się.



LIST DO ZARAZY

Olsztyn, 25.04.2020

Witaj, Zarazo!

Na początku mojego listu chciałbym Cię serdecznie nie pozdrowić i przesłać Ci miliony gróźb z powodu wiadomej Ci sytuacji.

Pewnie już wiesz, dlaczego do Ciebie piszę, ale chciałbym, żebyś dowiedziała się w końcu, co czują ludzie, kiedy postanawiasz na długo „zagościć” na naszej planecie.

Na początku myślałem, że chcesz tylko nas trochę postraszyć, zaczynając swoje odwiedziny w Chinach, i że zaraz znajdą na Ciebie szczepionkę lub jakieś lekarstwo. Okazało się jednak, że twarda z Ciebie sztuka i postanowiłaś zabić ludzi w Chinach, a następnie spustoszyłaś prawie całe Włochy i Hiszpanię. Nie wiem, czy wiesz, ale mój kolega z Włoch, którego poznałem, grając w grę internetową, na długo stracił kontakt ze swoimi rówieśnikami, więc poszukiwał przyjaciół w internecie. Oddzieliłaś go również od jego mamy, która jest pielęgniarką i musiała się przez Ciebie zajmować śmiertelnie chorymi pacjentami i w dzień, i w nocy. Z twojego powodu, jak słyszałem, umierają zwłaszcza starsi ludzie, choć czasami pozbawiasz życia również młodych ludzi i małe dzieci. Czy Ty jesteś taka podła, czy Ty nie oglądasz się za siebie i nie widzisz, jaką krzywdę wyrządzasz?

Na początku myślałem, że jak nas uziemisz w domu na trochę, to przynajmniej odpocniemy wszyscy od szkoły, od pracy, a Ziemia odpocznie od zanieczyszczeń spowodowanych przez ludzi. Niestety, myliłem się. Obecna sytuacja wygląda nieco inaczej. Ty po prostu chcesz chyba zniszczyć całą ludzkość, a Ziemia bez ludzi będzie może i zdrowa, ale będzie strasznie smutno.

Piszę do Ciebie z Olsztyna, i choć tutaj nas trochę oszczędziłaś, chcę Cię poprosić, żebyś tutaj „nie przyjeżdżała” najlepiej w ogóle. My z kolegami planujemy wrócić do szkoły, mieć ze sobą kontakt na podwórku i cieszyć się z życia. Wiem, że każdy człowiek się starzeje i kiedyś umiera, ale nie chcę, żebyś to Ty decydowała, kogo pozbawisz życia w strasznych męczarniach i samotności.

Na końcu chciałem Ci podziękować, bo dzięki Tobie ludzie może zauważyli, co jest w życiu najważniejsze (dom, rodzina, zdrowie), ale nie musisz tak długo doświadczać nas cierpieniem. Na pewno zapamiętamy, co to jest respirator, maseczka, płyn do dezynfekcji rąk, kwarantanna, więc daj w końcu spokój i zniknij na zawsze, nie występując w duecie z żadnymi innymi wirusami.

Z niepoważaniem,

P.

P.S. Nie piszę imienia z obawy o swoją rodzinę i o własne zdrowie.